

Beata Nowacka  
Uniwersytet Śląski

## „Otworzyć wszystkie, nawet zardzewiałe, klapy chłonne” Reporterskie *sensorium* Melchiora Wańkowicza

Ameryka mocno zaznacza się w biografii ojca polskiej szkoły reportażu i zdecydowanie wyróżnia na tle innych obieranych przezeń destynacji. Już jako trzydziestoczterolatek pisarz wyrusza w trzymiesięczny wojaż po Meksyku, w 1949 roku przenosi się z żoną do USA, by zamieszkać na kurzej farmie należącej do córki, rok później odbywa, liczącą osiemnaście tysięcy kilometrów, turę odczytową w Kanadzie i osiada pod Nowym Jorkiem. Po pięciu latach wznawia wykłady w obu krajach Ameryki Północnej. W lipcu 1956 roku po raz pierwszy od wojny odwiedza Polskę, a w grudniu wraca do Stanów Zjednoczonych, by od stycznia rozpocząć współpracę z fundacjami w Hartford i od maja – w Montalvo. W 1958 roku – po blisko dziesięciu latach spędzonych w Nowym Świecie – decyduje się na ostateczny powrót do kraju. Niebawem podejmie stamtąd kolejną wyprawę śladem Kolumba – w 1960 roku wyjedzie na ponad rok do USA i Meksyku<sup>1</sup>. Do Ameryki Melchior powróci raz jeszcze – w 1969 roku, już po śmierci żony. „W sumie – szacuje – przebyłem trasę Atlantyk-Pacyfik cztery razy: w 1950 przez Kanadę, 1954, 1957 i 1961 przez Stany Zjednoczone”. To – jak sam powiada: „kolumbowanie” – jest zatem istotnym rysem jego biografii. Z USA, gdzie osiedliła się wcześniej jego jedyna żyjąca córka, Tili, twórca *Ziela na kraterze*

---

<sup>1</sup> Informacje biograficzne zawdzięczam pracy A. Ziółkowskiej-Boehm: *Kalendarium życia i twórczości Melchiora Wańkowicza*, w: tejsze: *Na tropach Wańkowicza po latach*, Warszawa 2009, s. 575–579.

zamierzał związać się trwalej – 14 czerwca 1956 roku zdecydował się przyjąć obywatelstwo amerykańskie.

Najważniejszą publikacją dotyczącą wojaży za ocean jest niewątpliwie trylogia *W ślady Kolumba*<sup>2</sup>. Mogłoby się wydawać, że jest relacją z jednej podróży do Ameryki – tej, która miała miejsce w 1957 roku, w przededniu podjęcia znamiennej decyzji o powrocie z emigracji. Zamieszczony w pierwszym tomie trylogii plan wojażu zakłada przebycie kilkunastu tysięcy kilometrów samochodem, przecinając Stany Zjednoczone ze wschodu na zachód i z powrotem. Małżonkowie zamierzają wyruszyć 12 grudnia 1956 roku z Nowego Jorku, by na początku stycznia dotrzeć do Kalifornii. Wańkowicz planuje:

1800 km wzdłuż Atlantyku poprzez stany Nowy Jork, New Jersey, Delaware, Maryland, Wirginia, Karolina Północna, Karolina Południowa, Georgia.

1900 km wzdłuż Zatoki Meksykańskiej przez stany Missisipi, Luizjana, Teksas.

1800 km wzdłuż granicy meksykańskiej przez stany Nowy Meksyk i Arizona.

2000 km wzdłuż Pacyfiku przez terytorium Meksyku i przez stan Kalifornia.

5500 km wreszcie z powrotem nad Atlantykiem stanami środkowymi [...]: Nevada, Utah, Kolorado, Kansas, Missouri, Indiana, Illinois, Michigan, Ohio, Pensylwania, Wirginia Zachodnia, Dystrykt Columbia.

[A-P, s. 11, 22]

Amerykańska podróż Wańkowiczów wiedzie szlakiem pionierów, którzy kilka wieków wcześniej właśnie od wschodniego wybrzeża z okrzykiem „Go west!” zanurzali się w głąb kontynentu. Finałem pierwszego tomu, zatytułowanego *nomen omen: Atlantyck-Pacyfik*, jest dotarcie na skraj Oceanu Spokojnego, do San Bernardino, siedziby Fundacji Hartforda, gdzie pisarz spędzi wraz z żoną cztery pierwsze miesiące 1957 roku. Kończąc swój pobyt zapowiada wyjazd na kolejne stypendium:

[...] list z Fundacji Montalvo, że miejsce nas oczekuje, ale za dwa miesiące...

– A mieszkania się pozbyłeś – mówi dramatycznie [żona].

– Pozbyliśmy się – mówię z naciskiem. Nie mogę jej nauczyć czuć się kolektywnie odpowiedzialną.

<sup>2</sup> Korzystam z najnowszego wydania trylogii, wszystkie cytaty lokalizuję w tekście głównym. M. Wańkowicz, *W ślady Kolumba. Atlantyck-Pacyfik*, wstęp J. Surdykowski, posłowie A. Ziółkowska-Boehm, Warszawa 2009 [dalej: A-P z numerem strony]. M. Wańkowicz, *W ślady Kolumba. Królik i oceany*, wstęp J. Surdykowski, posłowie A. Ziółkowska-Boehm, Warszawa 2009 [dalej: K-O z numerem strony]. M. Wańkowicz, *W ślady Kolumba. W pepku Ameryki*, wstęp J. Surdykowski, posłowie A. Ziółkowska-Boehm, Warszawa 2009 [dalej: WPA z numerem strony]. Ameryce poświęca także tom *Polacy i Ameryka*, Warszawa 1991. Cytata zamieszczona w tytule pochodzi z pierwszego tomu trylogii [A-P, s. 225].

- I cóż teraz? Gdzie pojedziemy?
- Do Konstantynopola, jeśli będzie taka moja wola – przypomniałem sobie pana Zagłobę. – O, patrz!
- Królik śledzi ołówek posuwający się po mapie. Ołówek jedzie na południe. I jeszcze na południe. I jeszcze na południe.
- Ojej!... – woła Królik: ołówek stanął na granicy meksykańskiej.
- Teraz czas na cięcie lancetu. Ołówek jedzie w dół, od granicy przeciągam tempo jego posuwania się śmiertelnie długo. Aż wreszcie zatrzymuje się.
- Ensenada. To tu przesiedzimy te dwa miesiące.

[A-P, s. 328]

Od wyprawy śladami Corteza zaczyna się zatem drugi tom trylogii. Po upływie dwóch miesięcy podróżnicy rzeczywiście docierają do Montalvo, a zaraz potem osiedlają się w Palo Alto. Wańkowiczowskie *itinerarium* ma logiczny przebieg, bez zarzutu usytuowane w zasygnalizowanych przezeń ramach temporalnych. Sam pisarz jakby „na wszelki wypadek” odwzorowuje przebytą trasę raz jeszcze:

Dziesięć miesięcy wysiedzieliśmy się w Kalifornii. Ile tylko było można. Naprzód cztery miesiące w Fundacji Hartford, potem dwa miesiące w Meksyku, potem dwa miesiące w Fundacji Montalvo, wreszcie dwa i pół miesiąca w Palo Alto.

[KO, s. 285]

Uważna lektura tomów musi jednak nasuwać pewne wątpliwości co do rzeczywistej chronologii amerykańskiego wojażu. Oto w drugim tomie reportażu, już po opuszczeniu Meksyku i jeszcze przed dotarciem do Fundacji Montalvo (który – przypomnijmy: miał miejsce między 11 maja a 26 września 1957), znajduje się fragment zapisków z dziennika Zofii datowany na 13 lipca, dookreślony tylko dniem tygodnia (czwartek). Tymczasem 13 lipca 1957 przypadał w sobotę. Ten sam dzień roku 1961 rzeczywiście był czwartkiem, zatem relacja, którą otrzymujemy pochodzi już z innej podróży. Potwierdzenie tych intuicji znajdujemy w kalendarium życia i twórczości pisarza autorstwa Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm. Można się z niego dowiedzieć, że tak przekonująco wykreślona trasa podróży dotyczy w istocie dwóch, oddzielonych czterema latami, wojaży. Zatem opisy meksykańskich przygód, inicjujące drugi tom trylogii, należą już niewątpliwie do wyprawy z 1961 roku. Wańkowicz kondensuje akcję reportażu, łącząc w jeden dwa pobyty w Fundacji Hartforda (obie wizyty miały miejsce w pierwszych czterech miesiącach 1957 i 1961 roku). Po tych zdarzeniach umieszcza jednak relację z pobytu w Fundacji Montalvo sprzed czterech lat, która znów udaje

całkiem inną wyprawę. Z kolei ostatni tom trylogii jest realizacją trasy zapowiedzianej w tomie pierwszym, która wiedzie kolejno przez stany Nevada, Utah, Kolorado, Kansas, Missouri, Indiana, Illinois, Michigan, Ohio, Pensylwania, Wirginia Zachodnia, Dystrykt Columbia. Wojaż kończy się powrotem na wschodnie wybrzeże, do Waszyngtonu, skąd w styczniu 1962 małżonkowie wrócą do Polski. Będzie to jednak normalny powrót z podróży, jakże inny niż ten poprzedni – wieńczący wojaż z 1957 roku i zamykający długoletni okres emigracji. Dlaczego Wańkowicz nie tylko niepostrzeżenie przesunął akcję swego reportażu o cztery lata, ale i pozacierał kontury obu podróży, próbując przekonać czytelnika, że ma do czynienia z jedną? Ten frapujący zaplot jest przykładem jego słynnej metody twórczej – mozaiki, dzięki której zdołał skondensować reporterski materiał i ukształtować go w formę nośnego konceptu. Wańkowiczowskie *itinerarium* nie jest bowiem aktualizacją antycznej periegezy, ale ma ambicje stać się – jak słusznie pisze we wstępie Jerzy Surdykowski – opowieścią o drodze i jej „upartym przebywaniu” [A-P, s. 5].

Mit drogi, obok „od pucybuta do milionera”, *keep smiling, do it yourself, melting pot* i wielu innych, to wszak sztandarowy symbol Ameryki. Korzeniami sięga do dawnych czasów pionierskich, gdy ludność napływowa przemierzała rozległe połacie kontynentu w poszukiwaniu „swojego miejsca” na ziemi; mit ten stał się w XX wieku – dodajmy: wieku intensywnego rozwoju motoryzacji, szczególnie ważny dla kultury amerykańskiej. O jego niezachwianej pozycji świadczy popularność „filmu drogi” (*road movie*) czy „powieści drogi” (*road novel*), które czas *prosperity* przeżywają w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku. To chyba nie jest przypadek, że Wańkowicz odbywa swoją amerykańską odyseję w tym samym roku, w którym Jack Kerouac publikuje kultową powieść *On the Road* (1957) – ideologiczny manifest pokolenia *beat generation*. Książka, która powstała w ciągu kilku tygodni 1951 roku jako trzydziestopięciometrowy zwój, została opublikowana dopiero sześć lat później, lecz od razu zaistniała jako głos powojennego pokolenia młodych<sup>3</sup>. Wariacka wyprawa zbuntowanych bohaterów przez terytorium Stanów Zjednoczonych jest dla nich dramatyczną próbą przeżycia pełni egzystencji, pokonania ograniczeń czasu i miejsca. Wojaż ludzący nadzieją doświadczenia pełnej wolności staje się z czasem figurą niespełnienia, rozpacz i bezdomności. „Sam nie wiem, co mi dał ten wyjazd do Frisco – wyzna jeden z uczestników podróży – [...] To już był koniec; chciałem się stamtąd wyrwać”<sup>4</sup>.

<sup>3</sup> O wspomnianej książce ostatnio pisał ks. D. Jastrząb, *O drodze i bezdrożu. „On The Road” Jacka Kerouaca*, „Życie Duchowe” 2011, nr 66, s. 156–163.

<sup>4</sup> J. Kerouac, *W drodze*, Warszawa 2007, s. 236.

Decyzja niemłodych, liczących z górą sześćdziesiąt lat małżonków, którzy z entuzjazmem, brawurą i bezkompromisowością nastolatków rzucają się w poprzek kontynentu jest nie tylko zdumiewająca, ale świadczy także o znakomitym uchu reporterskim twórcy *Na tropach Smętka*. Wańkowicz doskonale wychwytuje ówczesną atmosferę miejsca i bezbłędnie dostraja się do „rytmu” Ameryki lat pięćdziesiątych. Podejmując decyzję o trudnej, nieraz monotonnej wędrówce, pisarz przypomina jednego z ulubionych amerykańskich bohaterów, którzy w latach pięćdziesiątych zawładnęli wyobraźnią milionów czytelników i miłośników kina na całym świecie – jako niezależni i samowystarczalni, pozbawieni domu outsiderzy z determinacją zmierzający ku niepewnej przyszłości. W przypadku Wańkowiczów ten kultowy obraz nie jest tylko zgrabną metaforą – małżonkowie rzeczywiście utracili dom, który spłonął w Powstaniu Warszawskim, znów szukają swojego miejsca na ziemi. Ich przyszłość w Polsce czy za oceanem rysuje się równie mgliście, decydują się więc, by wyruszyć w imponujący rozmachem, lecz wymagający nie lada odwagi i zaradności wojaż, który ściśle zaplanowany i na bieżąco finansowany z pozyskiwanych po drodze honorariów „odczytowych” ma im pomóc najpełniej poznać smak nowego kraju. Porównując obecną podróż do wcześniejszej, którą pisarz odbył luksusowym pociągiem „Super Chief”, Wańkowicz notuje:

Teraz przebyliśmy inaczej tę drogę – po motelikach, za trzy, cztery dolary, w których nocują szoferzy wielkich ciężarówek przemierzających amerykańskie autostrady; po kafeteriach, gdzie człowiek odżywiał się parówkami; po stacjach benzynowych, gdzie podpompowywał opony, mierzył oliwę, przecierał szyby: w deszcze, w burze piaskowe; z kłopotami, gdzie parkować; z objazdami między nasypami żwiru i huczącymi maszynami; pomiędzy ludźmi uderzającymi w rozmowach po ramieniu; ciągnąc bagaże z wozu na noclegi i z powrotem; prycząc herbatę na podróźniej maszynie. [...] Patrzę na „moją starą” i pytam: Czy wolisz to niż „Super Chiefa”? Podnosi na mnie oczy, a oczy są młode. I mówi z przekonaniem: „Wolę”.

[A-P, s. 192–193]

Analizując trasę Wańkowiczów, Jerzy Surdykowski podkreśla jej zasadniczą trudność – żeby dostać się ze wschodniego krańca kontynentu do położonych na zachodzie urokliwych Gór Skalistych, trzeba mozolnie przedzielać się przez wiejące nudą krajobrazy preriowe, ciągnące się w nieskończoność pola kukurydziane i wyjałowione pastwiska. Dogodniej – radzi doświadczony znawca takiej wyprawy – wybrać się samolotem w atrakcyjne miejsce i tam wynająć samochód. A jednak wybór trudniejszego, bardziej monotonnego wariantu podróży po Ameryce Północnej ma swoje uzasad-

nienie. Wańkowicz obrazowo pisze, że „obcego kraju należy się uczyć, dając m.in. raz po raz buty do podzelowania”. Przemierzając samochodem Stany Zjednoczone, chłonie je wszystkimi zmysłami, kosztuje grzechotnika, pomieszkuje w amerykańskich przyczepach, poddaje się nastrojowi roztańczonej nowoorleańskiej ulicy, korzysta z atrakcji Disneylandu. Gargantuiczny wręcz apetyt na życie nieźle oddaje opis wizyty reportera w jednym ze słynnych salonów piękności. Zaleca wówczas, by zrobić z nim wszystko, „co im do głowy przyjdzie”. Zatem po oczyszczeniu butów, manikiurze i pediurze, fryzjer

[...] miesił [...] głowę, smarował, maścił, masował elektrycznie, masował strzelającą fioletową lampą, masował wibratorem, masował ręką, iskał [...] po włosach pięciopalczystą, elektryczną „ręką”, kładł ciepły kompres, potem maść, potem zimny, potem maść, skraplał, upachniał, padgalał i gadał, gadał i gadał...

[A-P, s. 180]

Niewiele jest w amerykańskiej trylogii przykładów haptycznego obcowania ze światem; pisarz faworyzuje raczej zmysły dalekiego kontaktu, jak wzrok i słuch. Umieszczenie tej obserwacji jest jednak znaczące – korzystając z pomocy najczulszego ze zmysłów Wańkowicz w gruncie rzeczy nie ma szans na odczucie rzeczywistości, jest bowiem poddawany dotykowi, by tak rzec, zinstytucjonalizowanemu. Ten rodzaj namacalnego kontaktu ze światem jest więc ludzący.

Podróźne wybory Wańkowicza są czasem zastanawiające. Komentuje je Jerzy Surdykowski, który odnotowuje brak zainteresowania amerykańskimi „cudami natury” [A-P, s. 7]. Przejeżdżający przez Arizonę pisarz bez żalu pomija wędrówkę po Wielkim Kanionie, w Nowym Meksyku nie odwiedza indiańskich ruin, a mieszkając przez cztery miesiące w Los Angeles, nie zagląda nawet do słynnego parku krajobrazowego Yosemite<sup>5</sup>. Zamiast tego jedzie na spotkanie z polsko-amerykańskim szarlatanem, który posługując się pseudonaukowymi teoriami, opowiada o swoich kontaktach z Wenusjanami. Trzeba jednak przyznać, że jest to bardzo znaczący wybór. Wańkowicz przedkłada bowiem spotkanie z osobliwym człowiekiem, zresztą także Polakiem, nad największe krajobrazowe atrakcje i udowadnia w ten sposób, że podróżując po kontynencie amerykańskim nie chce być tylko turystą, ale przede wszystkim reporterem – kolekcjonerem frapujących rozmów i niecodziennych zdarzeń.

<sup>5</sup> Miejsce to pisarz odwiedził przy okazji kolejnej podróży – w 1961 roku. Relację z Parku Narodowego Yosemite umieścił w drugiej części trylogii [KO, s. 299–312].

W relacji Wańkowiczowskiej przeprawy przez USA jest pewien paradoks: oto podróż odbywana „w rytmie” doświadczanego świata, mocno angażująca zmysły wędrujących, jest nierzadko wyjałowiona z opisów percepcji. Pisarz nie poświęca wiele uwagi ciału, jego zmęczeniu, nie narzeka na trudy podróży, niedyspozycje organizmu, które są przecież nieuniknionym towarzystwem wielkich wypraw, zwłaszcza gdy wybierają się na nie ludzie niemłodzi. Reporter próbuje poznać Amerykę w sposób najbardziej pierwotny – zmysłowo: chce przyjrzeć się jej z bliska, odczuć na własnej skórze, smakować, wachać i wsłuchiwać się. Tymczasem później, opisując swe doświadczenia, nieczęsto korzysta z percepcyjnych rezerw. Jednym ze znaczących wyjątków jest opis podróży po kolebce jazzu. Nieprzypadkowo pisarz w tytule donosi: *Rozprężamy się w Nowym Orleanie* i już w pierwszych zdaniach daje przykłady tego „rozprężenia”, gdy pozwala się uwodzić zmysłom: „Powietrze jest przejrzyste, słoneczne, krajobraz radosny, musujący, nadmorski, pustynno-palmowy, [...] [powietrze] jest przesycone zapachem korzennych przypraw morskich przysmaków i mocnej kawy” [A-P, s. 111]. Sensualne spiętrzenie ma tu charakter synestezji: pejzaż jest zatopiony w kryształicznie czystym powietrzu, wyczuwa się intensywny korzenno-kawowy zapach, jego percepcja angażuje także zmysł słuchu – jest „musujący”, subtelnie wibruje. Ciekawe, dlaczego opis tego miejsca tak radykalnie różni się od deskrypcji innych przystanków w podróży? Zdaje się, że reporter błędnie wyczuwa pozaracjonalny charakter przestrzeni, w której narodziła się zmysłowa muzyka; czuje, że władają nią raczej emocje niż intelekt. Wsłuchując się w rytm tego miejsca, próbując zgłębić jego tożsamość, Wańkowicz mniej korzysta z racjonalnych sposobów orientacji przestrzennej, a nawet celowo gubi się w labiryncie splecionych uliczek, na powrót budzi swe zmysły: „To miasto jest żywonarodzone – tłumaczy zaniepokojonej niekończącym się błędzeniem żonie. – Nieplanowane. I ludzie tu są żywonarodzeni, zespoleni ze swoim miastem. Nielogiczne ulice mają logiczny bieg krwi. Kierunek, jak dawniej – to serce. Już go nosem czuję” [A-P, s. 112]. Małżonkowie chętnie poddają się aurze tego jedyne i niepodrabialnego *genius loci*, sycą zmysły, pozwalają się uwodzić ulicznej muzyce wykonywanej przez potencjalnych następców Louisa Armstronga, cieszą oczy widokiem nastrojowej przestrzeni:

[...] mijamy ulicę za ulicą, coraz bardziej strojne w stare domy, przewiewne, od ulicy z głębokimi wnękami tarasowych balkonów za kutymi ręcznie żelaznymi kratami, pod ulewą kolorowych markiz, z błyskającymi przez przebłyski bram mozaikowymi patio-podwórcami, na których szemrzą fontanny i rosną palmy i szczerzą zielone, spatyniałe paszcze tłuste delfiny.

[A-P, s. 112]

Nowy Orlean wabi także smakami – pisarz z ulgą odnotowuje zmianę w jednostajnym podróznym jadłospisie: „Ileż bom ja w ciągu jazdy opchnął tych «frakfuterów», tych «hot dogów», «gorących psów», tego narodowego przysmaku”. I oczywiście nie byłby sobą, gdyby nie przedstawił na ten temat porażających kalkulacji: „Tegoroczna produkcja parówek w USA wyniosła tyle, że, jak obliczono, można by nimi opasać trzydzieści dwa razy glob ziemski”, i nie dodał z emfazą: „Precz z parówkami! Hrabia jestem na tę noc w Nowym Orleanie” [A-P, s. 113], i nie skosztował „aromatycznego”, „buchającego parą i ostrym zapachem” egzotycznego „pompano” [A-P, s. 115].

O wyjątkowości krainy jazzu wobec innych, odwiedzanych przez małżonków, rejonów Stanów Zjednoczonych pośrednio zaświadcza charakter pożegnania z amerykańską przygodą. Ostatni tom trylogii kończy się słowami: „Żegnaj, Ameryko, Ziemi Obiecana, miodem i mlekiem z puszek konserwowych płynąca” [WPA, s. 289]. Może zatem najbardziej znamienym wytworem tej kultury byłby dla Wańkowicza Disneyland – spreparowana, zamknięta przestrzeń, w której obowiązują ścisłe zasady; miejsce, w którym sfera ludzkich emocji podlega komercjalizacji i ograniczeniu do wyreżyserowanych reakcji. Wańkowicz z przekorą wobec nieukrywanej niechęci „czcigodnych *fellows* z Fundacji”, czyli innych artystów zaproszonych do siedziby Hartforda, wybiera właśnie tę destynację jako jeden z celów podróży. Małżonkowie bezbłędnie podchwytyją reguły gry rządzące tym miejscem, rzucają się w wir atrakcji: płyną dziką rzeką, przeżywają bandycki napad na pociąg, lecą na „księżyc”, pozwalają wibrować zmysłom:

Siedzieliśmy nad brzegiem wody – wspomina autor – na której chwieją się pirogi tubylców, i chłoniemy głosy puszczy. Słońce zbliża się ku zachodowi i dżungla układa się do snu. Z jej zielonego piekła dochodzą głosy papug, piski małych, jakieś gwizdy i poświsty nieznanymi ptaków, pobekiwania i pokwikiwania nieznanego zwierzęcia i od czasu do czasu rozlega się ryk drapieżnika.

[A-P, s. 271]

Finałem tej sensualnej feerii jest nieunikniony, ale przecież niezbyt dookliwy, powrót do rzeczywistości: „O czytelniku – po cóż mnie zmuszasz do wyznania, że wszystko to robią zmechanizowane i zsynchronizowane głośniki?” [A-P, s. 271].

Dotykający Ameryki Wańkowicz częściej przekonuje się, że życie w świecie wysoko rozwiniętej cywilizacji nie zawsze jest zabawą, ale bywa raczej udręką dla zmysłów. Opuszczając Nowy Jork, pisarz przemieszcza się tunelem i wspominając niedawną tragedię drogową, spowodowaną pożarem jednego z dużych aut, notuje swe wrażenia z podziemnej wędrówki:



Huk piekielny ciężarówek, lśnienia lampionów, cienie tańczące po ścianach tunelu (zapaliłem latarnie), zmienione ciśnienie – stanowią istną drogę z piekła. Wyskakujemy z tunelu jak korek z butelki w słoneczny świat. Źrenica musi przyadaptować się natychmiast, nie ma prawa zaniewidzieć ani na chwilę w tej piekielnej sarabandzie.

[A-P, s. 44]

Podobnie działa na zmysły reportera Reno, które reklamując się jako „największe małe miasto na świecie” słynie z hazardu i łatwych rozrywek. Dla Wańkowicza to „współczesne Sodoma i Gomora, raj rozwodników” [KO, s. 348], miejsce, które charakteryzuje „wrzask neonów, ruchomych reklam świetlnych, rozwartych gardzieli zakładów publicznych, [...] kolorowość fagasów w najdziwniejszych liberiach, [...] cudeńka na olbrzymich wystawach w sklepach” [KO, s. 350]. Kontrast wobec nachalnych bodźców zewsząd atakujących człowieka stanowią otepiali użytkownicy dostępnych uciech, jak np. luksusowa starsza dama ze wzrokiem skupionym na dźwigniach dwu automatów do gier, które bez chwili przerwy załadowuje półdolarówkami. Podobny stupor charakteryzuje innych: „Ludzie przy barze są też cisi, piją na ponuro, są nierozmowni” [KO, s. 354], także w budynku zalega cisza, bo „słyszeć tylko monotony *pater noster* dźwigni szarpanych u ośmiuset maszyn do gry” [KO, s. 354]. Miejsce, zaprojektowane jako świątynia zabawy i rozrywki, jest ludziom nieprzyjazne, podszyte podejrzeniem i pazernością właścicieli: „Siedząc przy barze dowiaduję się, że krzykliwie dekorowane lustra pod sufitami są w gruncie rzeczy judaszami, przez które policjanci obserwują kochanych gości” [KO, s. 355].

Pisarz znajduje wiele innych przykładów zaświadczających, że stechniczowana przestrzeń jest ludzimi wroga, bo zamiast pobudzać ich zmysły – atakuje je i tumani. Za cenę życia człowiek zmuszony jest funkcjonować jak bezbłędna maszyna – być w nieustannej czujności, podejmować wyłącznie skuteczne działania. Obserwacje Wańkowicza nie są odległe od opinii niektórych badaczy kultury, którzy wyraźnie mówią o zagrożeniu, jakie zmysłom niesie przestrzeń metropolii: nieprzerwana aktywność rozmaitych bodźców, wymagających ciągłego „bycia w pogotowiu”<sup>6</sup>. Podróżujący reporter drażni ten problem głębiej. Zastanawiając się nad jakością pracy Amerykanów, ich podziwu godną troską o efektywność i maksymalną wydajność, przygląda się skutkom, zainicjowanego na początku XX wieku, taylorizmu. Ta wywiedziona z naukowych analiz przez Fredericka Winslowa

---

<sup>6</sup> Na ten temat interesująco pisze M. Nieszczerzewska, *Stymulacja autentyczna i inscenizowana. Dwa rodzaje sensorycznej intensywności miejskiego życia*, w: *Spektakle zmysłów*, red. A. Wieczorkiewicz i M. Kostaszuk-Romanowska, Warszawa 2010, s. 261–276.

Taylora koncepcja zarządzania polegająca, najogólniej mówiąc, na wyodrębnieniu z pracy robotników krótkich, nieskomplikowanych czynności, na które przeznaczona jest ściśle określona ilość czasu przyniosła w istocie efekty porażające. Organizacja pracy na zasadzie bodziec – reakcja prowadzi do odhumanizowania pracowników, odebrania im godności i satysfakcji. Skutki długofalowego oddziaływania tych samych stymulacji mają jednak dalsze konsekwencje – przyczyniają się do znaczącej depriwacji zmysłów. Wspominając swoją przedwojenną wizytę w chicagowskiej rzeźni, gdzie z górnej galerii hali miał okazję obserwować cały proces pozyskiwania mięsa – od ogłuszenia zwierzęcia po selekcję jego drobnych organów, przywołuje następujący obraz:

[...] pokazywano mi człowieka, który wyłuskiwał nerki. Od trzydziestu lat stał na tym miejscu (automatyzację w Chicago zaczęto wprowadzać już w 1870 roku). Przed dwudziestu laty oślepl. Zatrzymano go w pracy i okazało się, że jego wydajność nie zmalała. Ślepiec, którego obserwowałem, miał obie dłonie wyciągnięte pod kątem prostym do płynących taśm. Skoro tusza dotykała ręki prawej, ta wyjmowała rękę, wkładała w lewą i skoro sunąca na taśmie miska dotknęła ręki lewej, ta lokowała w niej nerkę.

Pomyślałem ze zgrozą, że gdyby ten człowiek utracił ponadto poczucie węchu, słuchu i smaku, sprawność jego, potrzebująca jedynie zmysłu dotyku, jeszcze by wzrosła.

Niepotrzebny był cały człowiek – wystarczyła jedna piąta człowieka.

[KO, s. 189]

Podobne obserwacje dotyczą zwiedzanej przez reportera fabryki Forda, w której zamiast ludzi odczuwających, żywo reagujących, związanych emocjonalnie z wykonywanym zadaniem widzi jedynie „śrubowkręty”, „dziurkodłuby”, „ludzi-świdry”, „ludzi-dłuta” itd. [KO, s. 189]. Kwestia skutków, jakie przynosi zmysłowa depriwacja, najwyraźniej nurtuje Wańkowicza – stanowi w jego podróżach amerykańskich częsty wątek myślowy. Przedstawione przez reportera przykłady obrazujące podnoszenie wydajności odbierają pracy jej wartość, przyczyniają się do osłabienia więzi z innymi, z sobą samym. Praca pozbawiona wymiaru teleologicznego odrealnia się, traci spistość, nie daje poczucia satysfakcji.

W nastawionym na efektywność, standaryzację i podporządkowanym technice świecie także inne wartości są wytrawione. Człowiek, który stracił kontakt z własną tożsamością, jest głuchy na głosy przyrody, jego kultura „odpażdzierza się” [WPA, s. 164], cnoty mają wartość skansenu, a potrzeby duchowe są mizerne. Święci nowej rzeczywistości to wszak Taylor – prorok pracy nowoczesnej, obowiązkowo – milioner, który zaczynał

od sprzedawania zapalek na ulicy i Santa Claus – „jowialny grubas z pi-jacką gębą” [WPA, s. 167]. W innym miejscu Wańkowicz przywoła swą rozmowę z Florianem Znaniem [WPA, s. 95] oraz uwagę socjologa, który w swoim sześciotomowym dziele *Chłop polski w Europie i Ameryce*<sup>7</sup> zwraca uwagę na ten sam problem: „Metoda ciągłego drażnienia mas, pchając je do większego udziału w bogactwie, zamiast współzawodnictwa w twórczości kulturalnej jest dla postępu cywilizacji nader niebezpieczna”. Zbliżoną obserwację znajduje u Steinbecka, który mniej więcej w tym samym czasie odbywa podobny wjazd po Ameryce (*Podróże z Charleyem. W poszukiwaniu Ameryki*, 1962): „Jeśli ten naród ma do tego stopnia przytępione gruczoły smakowe, że nie tylko godzi się z jedzeniem bez smaku, ale w nim gustuje – to cóż stanie się z jego duchowym życiem, tak samo pozbawionym podniecia” [KO, s. 186]. Zagadnienie roli zmysłów, które Wańkowicz rozpoznaje wieloaspektowo – przez doświadczenie własne i rozmaite lektury, okazuje się trudne do przecenienia: czuła percepcja rzeczywistości nie tylko życiu nadaje smak, ale czyni je pełniejszym, bardziej wartościowym, po prostu sensowniejszym.

Emblematem stechnicyzowanych Stanów Zjednoczonych jest Nowy Jork – przestrzeń skrajnie odmienna od miasta jazzu. Wańkowicz widzi to miejsce jako „nieludzką ziemię”. Pierwsze, jeszcze przedwojenne, spotkanie z miastem robi na nim wrażenie „Metropolis Szatana”: „Przez te drapacze, przez bezduszne szachownice ulic, przez zautomatyzowanie” [A-P, s. 33], drugi kontakt nie ma już charakteru demonicznego, ale jest to nadal ziemia nieprzyjazna człowiekowi: „Kiedym się po wojnie do niego wezwyczał, wydał się zmlionkroconym Garwolinem. Przez te sklepiki, przez brud, przez jazgot bocznych uliczek” [A-P, s. 33]. Pisarz powiada wręcz: „w Nowym Jorku się duszę”. Od razu trzeba by dodać: „i tracę zmysły”. Przywołując wspomnienia rozświetlonego miasta pisarz notuje:

Jedziemy jarzącym Nowym Jorkiem. Przecież to za kilka dni Boże Narodzenie. Empire State Building, którego 900 biur (łączny czynsz roczny dziesięć milionów dolarów) stoi w nocy pustką, rozjarzył swoją fasadę 125 milionami świec; w pobliżu Radio City Music Hall (sala z widownią na 6200 osób) stoi olbrzymia choinka z dostawionego tu z wielkim trudem 30-metrowego świerka, iluminowanego od góry do dołu.

[A-P, s. 42]

---

<sup>7</sup> Wańkowicz korzysta z angielskiego oryginału książki przetłumaczonej na język polski dopiero w 1976 roku.

W opisie Nowego Jorku od razu uderza niejaka nieporadność językowa autora, który nocne iluminacje – wizytówkę miasta – określa bez polotu, bez cienia swej niepodrabialnej językowej wyobraźni. Najpierw używa stechniczowanego sformułowania „jarzące”, nieco dalej – czasownika o tym samym źródłosłowie „rozjarzyć się” (zresztą tak samo określa Nowy Jork nieco wyżej). Opis nowojorskiej feerii świateł ma zatem pewną, by tak rzec, zaprogramowaną intensywność. O skali widowiska ma nas przekonać nie czułość reporterskich zmysłów, ale porażająca skala liczbowa – sto dwadzieścia pięć milionów świec umieszczonych na fasadzie budynku istotnie działa na wyobraźnię. Jaką rolę w reportażu odgrywają takie kalkulacje, wyjaśnia Wańkowicz w przedmowie do pierwszego tomu swej trylogii: „W książce jest wiele liczb, zwykle starannie przesianych. Liczba celnie wybalansowana jest nie tylko dokumentem, ale stanowi sama w sobie czynnik emocjonalny i jest cennym walorem literackim” [A-P, s. 16]). Można by dziś dyskutować, czy przytoczone przez reportera liczby istotnie spełniają znaczącą literaturotwórczą rolę. Chyba sam pisarz nie był pewien działania sformułowanej tu zasady, skoro poczuł się zobligowany do umieszczenia takiego objaśnienia w przedmowie do pierwszego tomu swej trylogii. Nie ma wątpliwości, że pewną część zgromadzonych tu obliczeń można by bez żalu i niepokoju o utratę istotnych wartości literackich usunąć z tekstu.

Zresztą trudności Wańkowicza w deklarowanym przezeń „starannym przesiewaniu” liczb i materiału reporterskiego są widoczne gołym okiem. Trudno nie zgodzić się z autorem wstępu, który – choć szczerze urzeczony tym pisarstwem – notuje:

To gaduła, gawędziarz w starym stylu, bratanek Reja, a może i księdza Baki; każdy dzisiejszy redaktor wydawniczy zniszczyłby go za rozwlekłość. [...] Niedzisiejsze jest jego zainteresowanie światem, apetyt na życie we wszystkich jego przejawach, soczystość stylu; cytuje zasłyszane gawędy, facecje i lokalne plotki, a jednocześnie sięga po statystyki, liczby, mnoży dygresje historyczne. Miesza gatunki. Gada, gada, gada...

[A-P, s. 7]

Uporczywe słowne uzewnętrznianie się Wańkowicza, graniczące niekiedy z gadulstwem, na pewno nie jest przypadkowe. Leksykalne spiętrzenia mają może zatrzeć poczucie niezadomowienia w tej przestrzeni, braku emocjonalnej więzi. Ale przecież Wańkowicz miał ważne powody i szczerę pragnienie, by poznać Nowy Świat. Jako człowiek głęboko rodzinny, zamierzał zakorzenić się w ziemi, którą wcześniej wybrała jego jedyna córka, od kilku miesięcy miał już w kieszeni amerykański paszport.

Dlaczego więc, mimo pełnego determinacji nurzania się w doświadczeniu Nowego Świata, Wańkowiczowskie zmysły nie reagują na tę przestrzeń? Dlaczego pisarz znany ze swych barwnych, sensualnych i pełnokrwistych opisów nie „dotknął” Ameryki? Trylogia *W ślady Kolumba* jest przecież dziełem nierównym, często deficytowym w obserwacjach sensualnych. Zdaje się, że sam pisarz miał wobec książki poczucie pewnego niespełnienia, skoro otwarcie przyznawał: „Nie mam najmniejszej wątpliwości, że nie napisałem takiej książki, o jakiej bym marzył” [A-P, s. 13]. Czy niepowodzenie byłoby – jak sugeruje – kwestią nieciekawego tematu, z jakim musiał się zmierzyć?

Nic się nie dzieje – notował. – Te młodziaki reportery licho wie, gdzie się nie włóczą: po Wietnamach, Indonezjach, Laosach, Kongach. Przemierzają dżunglę, pustynię, laguny, mają przygody z gejszami. A tu starszy pan ciągnie się ze starszą panią samochodem po szosach, śpi w hotelach, pojada w restauracjach i z tego ma być wyciśnięty reportaż?

[KO, s. 62]

Przyczyna autorskiego niezadowolenia tkwi chyba gdzie indziej. Zdaje się, że mimo imponującej wiedzy, sporej determinacji i trzymania na wodzy uprzedzeń pisarz raczej nie rozumie tego kontynentu. Można odnieść wrażenie, że w kontakcie z obcą, stechnicyzowaną przestrzenią jego zmysły gasną. I najwyraźniej ma on pełną świadomość swej odmiennej, niezestrojonej z Ameryką, wrażliwości. Wyznaje bowiem:

Przyglądając się grubemu rękopisowi po jego ukończeniu, rozumiem, że przez Amerykę prowadziło mnie nieustanne zdumienie człowieka kultury organicznej, może nawet aż rustycznej, który ogląda życie technokratyczne wytwarzające kulturę nieorganiczną. Stąd w książce nieustanny zachwyt, olśnienie i skurcz, i rezerwa.

[A-P, s. 14]

To wyraźne rozminięcie widać zwłaszcza w prześwitujących spod amerykańskiej przygody odniesieniach do Polski. Bujna ziemia rodzinna, zawsze stanowi dla reportera rewers przestrzeni stechnicyzowanej, której wyrazistym emblematem są umieszczone na dachach, ściśle rozplanowane, nowojorskie ogrody. Tak zdecydowany kontrast może nasuwać skojarzenia ze średniowiecznym toposem „świata na opak”. W Nowym Jorku Wańkowiczowski świat istotnie wyrócił się na nice – zhierarchizowany układ społeczny, który go ukształtował, został tu zastąpiony przez porządek karnawału, wyznaczony przez sztuczność otoczenia i anonimowe kontakty międzyludzkie. Szlachecka kultura raz jeszcze musiała ulec potędze swej plebejskiej siostry,

tym razem jednak cudownie przemienionej w stylu *glamour* – w powabną, luksusową, pełną blasku. O semantycznej woltyżerze tego pojęcia tak pisze autor trylogii:

Ukuto nazwę na określenie kultury amerykańskiej – „kultura plebejska”. W nowym, nie pejoratywnym sensie tego słowa. Istotnie, kultury Ameryki nie zbudowała szlachta, mieszczaństwo, chłopci czy robotnicy. Zbudowały ją masy pomieszane, nijakie, przesuflowane, zjeżdżające z czterech końców świata, szybko porastające w zamożność. Drapacz chmur Macy’ego jest świątynią tej plebejskiej kultury. Snujemy się po jego nieskończonych piętrach i salach, w których można nabyć literalnie wszystko – od sznurowadła do dużej łodzi motorowej.

[A-P, s. 37]

Jednak nie za wszystkie niebezpieczeństwa czyhające na podróżującego po amerykańskiej ziemi odpowiada wysoko rozwinięta cywilizacja. Są i zagrożenia związane z naturą – jak teksańskie huragany (Wańkowicz szacuje ich liczbę na ponad dziesięć rocznie), nieprzebyte góry czy drapieżna fauna (aligatory, jadowite węże itd.) [A-P, s. 156]. Rewersem tej groźnej rzeczywistości znów jest dla pisarza bezpieczna ziemia rodzinna:

Ale, bo sama powiedz – tłumaczy żonie – jadowitości różne, spieki, powoździe, huragany. Nie ma ziemi tak przytulnej i niegroźnej jak nasza, ziemi swojskiej, która podaje wędrowcowi liście babki, na skaleczenie, przeciera zaszłe rosą niebo puszkami obłoków, a jeśli straszy – to zaskrońcami, a jeśli przeraża – to głosem pucki hukającej ze strzechy.

[A-P, s. 156]

Od razu zwraca uwagę percepcyjna czułość, z jaką pisarz oddaje jakość polskiego krajobrazu – swojskie obłoki mają miękkość puszkę, poranek orzeźwia delikatna rosa, a wieczór wabi odgłosami przyjaznej człowiekowi przyrody. W ujawniającej się co rusz tęsknocie pisarza za krajem pewnie nieostatni raz odsłania się ważny mit polskiego romantyzmu – oto kolejny wielki pisarz-emigrant stający wobec cudów dalekiego świata daremnie nasłuchuje odgłosów ojczyzny. W zamykającym obserwację amerykańskich dziwów stwierdzeniu: „Jedźmy już, na Boga!... Diabła tam!...” [A-P, s. 35] jest przecież nieodległe echo Mickiewiczowskich peregrynacji stepowych. Jednak Wańkowicz, jako doświadczony reporter, wie, że w czasie podróży nie powinien pozwalać uwodzić się wspomnieniom. Zatem trafiając na kolejny polski ślad, dyscyplinuje się: „Uff!... Ale trzeba się strzec, żeby ta wyprawa nie szła pod hasłem: «Słoń a sprawa polska». Bo też tego polskiego słonia jest pełno

na świecie” [A-P, s. 67]. Zresztą także nostalgia stanowi dla małżonków temat *tabu*:

[...] ...zanim wróciliśmy do Polski, kiedy mówiłem: „Jak w Polsce”, żona poruszała się niechętnie. Mówiłem pospiesznie „Jak we Francji”, ale dowcip schnął i spadał jak liść. Tak się stało, że mówiliśmy o Polsce niechętnie kłamiwymi ustami. Żona mówiła: „Już nie chcę wracać”. A ja milczałem, bo znałem popłacone przez nią ceny.

[KO, s. 204]

Mimo trzymania emocji w ryzach rozmaite polskie prześwity nieustannie powracają w amerykańskiej narracji. Nietrudno znaleźć w książce ślady podróży odbywających się równoległe w przestrzeni i czasie. Oto zwiedzając dziki Teksas, przywołuje Wańkowicz ukraińskie polowania z chartami [A-P, s. 155], kiedy zaś przygląda się monumentalnemu imperium handlowemu Searsa, jako właściciel niebanalnej biografii, przywołuje z pamięci widziane „*ad oculos*” obrazy wędrownych kramarzy, którzy „na zapadłych Kresach” poruszali się pieszo, „z dużym pudłem łubianym z nićmi, guzikami, igłami, bielidłem, farbką” albo zajeżdżający do wsi „parą tęgich koni z ogromnymi łubami”. „To było takie zdarzenie, jakby się człowiek znalazł na Wystawie Światowej pełnej neonów i atrakcji” – zaskakująco puentuje [KO, s. 276]. Amerykańskie wędrówki nieuchronnie muszą wieść także do mieszkań rodaków. Bywają to nierzadko spotkania rozczarowujące, jak na przykład wtedy, gdy w najstarszej polskiej parafii szuka śladów tożsamości narodowej. Ze smutkiem odnajduje jednak polskość skarłałą, bo jej jedyne relikty to bożonarodzeniowe *carols*, wykonywane przez wiernych w czasie pasterki jako „Boże dżecze” czy „Łuajże”, i będące może ostatnimi słowami z języka przodków, jakie potrafią wymówić [A-P, s. 143].

Realizując amerykański wояж, para ponad sześćdziesięcioletnich małżonków uporczywie czepia się jednak myśli o zakorzenieniu. Z nowym miejscem, jego mieszkańcami, ich codziennością mocniej wiązuje się Zofia Wańkowiczowa, ale i Melchior wzrusza się, skrycie podczytując żoniny pamiętnik, przekornie nazywany przezeń *Rypcium-pypcium*, w którym żegna się ona z meksykańską Ensenadą:

Uśmiechnąłem się czytając ten pamiętniczek: kobiecina wszędzie wrasta korzonkami. To chyba dobrze. Mieszkałem dłużej lub krócej w siedemnastu krajach. Nie było takiego, którego bym nie polubił, z krajobrazem i ludźmi włącznie. Nie było miejsca, z którego bym wyjeżdżał bez bolesnego odczucia odrywania się.

[KO, s. 95]

Obecność żony ma dla pisarstwa Wańkowicza wartość niebagatelną. Zofia pełni zbliżoną rolę jak córka towarzysząca pisarzowi w przedwojennej wyprawie kajakowej, z której przywiózł on słynny zbiór *Na tropach Smętka*. Podobnie jak kiedyś Tili pomaga w „podciepleniu reportażu” i uczynieniu go dla czytelnika uczuciowo bliskim. I podobnie jak córka ma własne potrzeby pisarskie – nawet w Fundacji Hartforda nie przebywa przecież w roli żony twórcy (zresztą fundacja nie przewiduje takiej ewentualności, zob. A-P, s. 195, 236), ale jako osoba dysponująca własnym dorobkiem pisarskim. Przez cały czas trwania podróży pisze dziennik, który stanowi interesujący kontrpunkt Wańkowiczowskich obserwacji. Notatki Zofii dają świadectwo wyraźnie odmiennego, znacznie bardziej naznaczonego zmysłowością, postrzegania: zajmują ją głównie obserwacje przyrody – z pieczołowitością odnotowuje ubarwienie ptaków, zachowania drobnych gryzoni, groźne spotkanie z grzechotnikiem. O jej niepospolitej wrażliwości wobec świata wizualnego świadczy też jakość opisów: oto charakteryzując okolicę, którą zamieszkują małżonkowie, Wańkowiczowa posługuje się istnym spiętrzeniem przymiotników nazywających rozmaite odcienie kolorów (czasem tak subtelnych jak „zimowoszary”, „dropiaty”, „jaspis” – A-P, s. 225). Mąż, pracowicie podkreślając nagromadzone przez nią epitety, dodaje – jak mawia – „pogłębiające komentarze”: „*Mater Dei!* [...] cóż za obsesja kolorów!”.

A jednak podróż z lat pięćdziesiątych znacząco różni się od przedwojennych wojaży po Prusach Wschodnich, a zatem i rola Zofii nieco się zmienia. Głównym celem wspólnego amerykańskiego wojażu jest przecież ważna okoliczność biograficzna: małżonkowie muszą podjąć decyzję o pozostaniu w USA lub powrocie z emigracji. Nie dowiemy się pewnie, jak przełożyła się ta wyprawa na losy Wańkowicza. Czy podróżując po Stanach Zjednoczonych z nowo otrzymanym paszportem amerykańskim wiedział już, że nie zakorzeni się w tej przestrzeni, czy może było raczej odwrotnie – decydując się na nią miał raczej nadzieję, że zdoła dobrze poznać, odczuć i zrozumieć przybraną ojczyznę? Wiadomo na pewno, że niedługo po zakończeniu pierwszego etapu tego wojażu, już w 1958 roku, pisarz podjął trudną, poważnie komplikującą jego stosunki z emigracją, decyzję o ostatecznym powrocie do kraju<sup>8</sup>. Amerykański ślad mocno zaznaczy się jeszcze w biografii rodziny: za oceanem na zawsze pozostanie Tili. Do Polski przyjedzie jej córka, Anna, która po ukończeniu studiów w USA zamieszka u dziadka, gdzie będzie

---

<sup>8</sup> O kulisach sporów emigracyjnych dotyczących Wańkowicza pisze w rozdziale *Decyzja powrotu* M. Kurzyna: *O Melchiorze Wańkowiczu – nie wszystko*, Warszawa 1975, s. 224–244.



prowadzić niezależny salon literacki. Po ukończeniu studiów medycznych, wobec odmowy przedłużenia wizy, wyjedzie wraz z mężem, Tadeuszem Walendowskim, i dwójką małych dzieci do Waszyngtonu. W Polsce trwale zakorzeni się dopiero jej syn...<sup>9</sup>

“Otworzyć wszystkie, nawet zardzewiałe, klapy chłonne”  
Melchior Wańkowicz’s *Journalistic Sensorium*

Summary

The article discusses one of Melchior Wańkowicz’s main works. His journalistic travels lead him to major countries in Europe, several countries in Asia, and some across the Atlantic. His American travels are particularly important to the writer (who wanted to make the U.S. his adoptive homeland), but his American trilogy does not belong to the author’s most successful works, which might prove that, despite his efforts, Wańkowicz does not understand American reality. The author ascribes this to the fact that, perhaps, in contact with a technology-oriented culture, Wańkowicz’s journalistic sense fades.

---

<sup>9</sup> Informacje biograficzne dotyczące potomków Melchiora Wańkowicza zaczerpnęłam z filmu: *Mój pradziad Melchior Wańkowicz*, reż. P. Morawski, Studio Filmowe Kalejdoskop 1998. Zob. też J. Siedlecka, *Ziela na kraterze ciąg dalszy*. „Pani” 1999, nr 3, s. 82–85.

